

Cenobita



WYDAWNICTWA
BENEDYKTYNÓW
TYNIEC

Cenobita

Barbara Szczepanowicz

Był mąż, z łaski Bożej i z imienia „Błogosławiony”
(Benedictus), którego życie przepełniała świętość
(Św. Grzegorz, *Dialogi* II,1)



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Projekt okładki: Kamil Kwiatkowski

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów
L.dz. 78/2011, Tyniec, dnia 27.05.2011 r.
† Bernard Sawicki OSB, opat tyniecki

Wydanie I: Kraków 2011

ISBN 978-83-7354-377-5

© Copyright by TYNIEC Wydawnictwo Benedyktynów
ul. Benedyktyńska 37
30-398 Kraków
tel. +48 (12) 688-52-95
tel./fax: +48 (12) 688-52-91
e-mail: zamowienia@tyniec.com.pl
www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:
TYNIEC Wydawnictwo Benedyktynów
druk@tyniec.com.pl

1. ZNAJDA

Człowiek powinien być przekonany, że Bóg z nieba patrzy nań zawsze i o każdej porze, a także, iż czyny jego w każdym miejscu rozgrywają się przed oczami Bożymi, aniołowie zaś w każdej chwili donoszą o nich Bogu (RegBen 7,13).

W Italii nastały ciężkie czasy. Szalała wojna. Pod ciosami barbarzyńców padały kolejne włoskie miasta. Boje toczyły się nieustająco w wielu miejscach, rosła ilość zabitych, rannych, pojmanych do niewoli. Szerzyła się przemoc, strach, niepewność jutra. Wiele rodzin straciło dach nad głową i ziemię – jedyną żywicielkę, poszerzając szeregi żebraków.

Eutropiusz oddychał pełną piersią chłodnym, wieczornym powietrzem. Przekroczywszy most, wjechał w rozległą dolinę. Po obu jej stronach piętrzyły się wzgórza podobne kopcom kreta wyrosłym jeden przy drugim, z przodu niższe, z tyłu wyższe. Spoglądając na otaczającą naturę nie mógł powstrzymać się od wychwalania wielkości Stwórcy i piękna przezeń stworzonego.

Dostrzegłszy jadący naprzeciw oddział Gotów poczuł niepokój. Minęli go nie zwracając na niego uwagi. W pobliżu Terni zatrzymał się jak zawsze, by nasycić oczy widokiem potężnego wodospadu. Spływająca woda rozpryskiwała się w połowie stoku o skały tworząc mgiełkę. Poniżej usadowił się drugi, mniejszy wodospad. Długo patrzył, bowiem lubił podziwiać cuda natury. Dalej droga wiodła wśród niewysokich wzgórz porośniętych lasami. Na południowych stokach srebrzyły się gaje oliwne i zieleniły winorośle. Pośród soczystej, wiosennej zieleni żółciła się mimosa i bieleła tarnina, na pniach przydrożnych drzew wił się wszędobyłski bluszcz. Gdzieś tam, kępkami, rosły proste, smukłe, o kolumnowym pokroju i gęstej koronie cyprysy.

Wzdłuż traktu bystro płynęła rzeka Nera o krystalicznie czystej wodzie, kojącej pragnienie wędrowców. Minął jedno i drugie kastelo

i ruszył krętą drogą wijącą się jak wstęga między wzgórzami. Wapienne skały błyszczące w promieniach zachodzącego słońca.

Zatrzymał się na rozstaju dróg. Jedna prowadziła do San Valentino, druga do Santy Vito. Ptactwo drapieżne ucztowało nad parowem, wiatr roznosił mdlącą, trupią woń. Jeździec zszedł z konia i puścił go luzem, aby odpoczął i poskubał świeżej trawy. Wpatrując się w wartki nurt rzeki zwanej „czarną wodą” zastanawiał się, czy dobrze zrobił opuszczając pośpiesznie Rzym. Gdy koń się pożywił, wskoczył na siodło, by kontynuować podróż. Nagle koń potknął się, omal nie zrzucając go z grzbietu. Zatrzymał się, aby sprawdzić, co się stało. Koń kulał. Przednia noga wyglądała na złamaną. Wyjął z podróźnej sakwy chustę, owinał nią końską nogę. Na szczęście w pobliżu była mała przydrożna gospoda, rzadko odwiedzana przez podróżnych. Jej właściciel był jego dobrym znajomym.

– Dzień dobry, Wiktorio – pozdrowił właściciela.

– Dla mnie niezbyt dobry.

– Dlaczego?

– Byli przed tobą Goci, zabrali ostatnie kury, jakie mi zostały. Nie oszczędzili i piwnicy. Wytoczyli beczki z winem, załadowali na wóz i odjechali. Co teraz pocznę? Do nowego zbioru pozostało pięć miesięcy. Co jest warta gospoda bez wina i rosółu z kury?

Mogę cię poratować. Mam spory zapas, ostatnie dwa lata winnice mi obrodziły.

– Dziękuję, przyjacielu. Jeśli nie kupię bliżej, wyślę chłopaka do Nursji. A co u ciebie?

– Przyszła wiosna, opuściłem Rzym, trzeba orać i siać. Wiesz, co się dzieje, jeżeli sam nie dopilnujesz robót, najemnicy są tylko najemnikami.

– Co słychać w Rzymie?

– Cały tydzień bawił król Teodoryk z córką Amalsuntą.

– Czy Kasjodor dalej jest przy gockim królu?

– Tak, i ma się dobrze. Namówił senatora Boecjusza, aby pracował dla Teodoryka.

– Chyba mi nie powiesz, że Boecjusz się zgodził?!

– Stwierdził, że tak będzie pracował dla dobra miasta i narodu. To mój kuzyn, znam go dobrze, to dobry, uczciwy i mądry człowiek. Wybacz, ale spieszę się, aby przed zachodem słońca dojechać do Nursji. Pożycz mi konia, bo mój okulał.

– Przykro mi, ale nie mam, wszystkie zabrali Goci, ostał mi się jedynie stary muł.

– Trudno, daj muła i zaopiekuj się moim koniem.

Eutropiusz przesiadł się na muła i skierował w stronę lasu, by krótszą, choć mniej wygodną drogą, dotrzeć do swej posiadłości w Nursji, niedaleko Spoleto w Umbrii. Chciał zdążyć przed zmrokiem. Popędzał muła, ale zwierzę nie miało ochoty przyspieszyć, a on był zdenerwowany tym, co się wydarzyło w domu przed jego wyjazdem. Pokłócił się z żoną i wyjechał z Rzymu bez pożegnania. W drodze popędzany koń złamał nogę, a sytuacja w kraju przedstawiała się tragicznie – król gocki Teodoryk nie potrafił powstrzymać swoich wojowników przed grabieżą i gwałtami. Krew lała się strumieniami. Eutropiusz miał nadzieję, że na wsi wyciszy się, przemyśli i uporządkuje sprawy.

– Co to?! – widok sterty trupów w lesie przeraził go.

Nagie ciała, złupione ze wszystkiego, wydano na żer ptactwu i robbactwu. Przeżegnawszy się, ruszył spiesźnie. Obejrzał się, gdyż wydało mu się, że dostrzegł ruch w gęstwinie leśnej. Serce zabiło mu mocniej. Zawrócił. Wśród trupów znalazł żywe dziecko. Brudny, osmolony może dwu, trzyletni chłopiec o jasnych włosach chował się za grubym pień rozłożystego dębu.

– Gockie dziecko – pomyślał. Co tu robi?

Chciał podejść bliżej, lecz zatrzymała go ciernista gęstwina.

– Nie mogę go tu zostawić samego – zdecydował. – Zginie z głodu i zimna albo rozszarpie go leśny zwierz.

Krótkim mieczem utorował sobie drogę wśród kolczastych gałęzi jeżyn, rokitnika i tarniny. Dziecko było przestraszone. Pogłaskał je po płowej główce. Wyjął z sakwy kęs chleba. Chłopiec rzucił się chciwie na jedzenie. Nie wiadomo od jak dawna nie jadł. Eutropiusz schy-

lił się, by wziąć go na ręce. Nieopodal ujrzał ciało młodej kobiety i resztki wozu. Może jego matki. Przeniósł chłopca na ścieżkę i posadził na grzbiecie muła. Nie zauważył, że zapadł zmrok, jak zawsze prędko w tym rejonie, w tym lesie. Ciemności tu zawsze zjawiały się nagle.

– To straszne, jakie nastały czasy – pomyślał. – Ludzie dla jada, przyrodziewku, a nawet bez przyczyny, gotowi są zabić drugiego człowieka

Eutropiusz nie potrafił zabić nawet kury na rosół. Był dobrym człowiekiem, nie tyle olśniewał urodą, co ciętością języka i elegancją. Starannie wykształcony uchodził w Rzymie za najlepszego znawcę Platona, choć rodzina uważała, że filozofowanie jest rzeczą niepotrzebną. On kwitował uwagi bliskich stwierdzeniem: Ja nie mogę znieść waszych rozmów o pieniądzach i o interesach. Żal mi was czasem, bo wydaje się wam, że robicie coś ważnego, a to tylko strata czasu. Wy za to przypuszczacie, że ja mam bzika i może macie rację. Uprawa ziemi daje utrzymanie mojej rodzinie a filozofia dostarcza mi duchowej strawy. Lubię ją i czerpię z niej pożytek.

Kiedy dotarł na znajomą polanę, zrobiło się zupełnie ciemno. Wioska i jego posiadłość znajdowały się niedaleko, ale noc zapadła wyjątkowo ciemna, niebo zachmurzyło się szczelnie kryjąc księżyc i gwiazdy. Postanowił przenocować w lesie, bał się zabłądzić. Okrył starym kocem trzęsącego się z zimna chłopca, rozpałił ognisko. Dziecko szybko zasnęło. I on próbował zasnąć, ale sen nie przychodził. Podążył myślami do żony, Abundancji. Bardzo ją kochał, ale ostatnio stała się bardzo drażliwa. Byli małżeństwem od pięciu lat i bardzo pragnęli potomstwa, o co modlili się żarliwie. Jego wuj senator, wpływowy człowiek, wyjednał im audiencję u papieża, który udzielił Abundancji specjalnego błogosławieństwa.

Znalezienie w lesie dziecka gockiego odczytał jako znak od Boga. Gotów przyjąć go za syna i wychować, nie był pewien zgody żony. Bezsenną noc przesiedział przy tłącym się ognisku rozmyślając. Ledwo zaświtało, ruszył żwawo w kierunku swej posiadłości ukrytej za

lasem. To, co postanowił w nocy, wydało mu się dobre i mądre. Gdy przekroczył bramy domu, służba zajęła się dzieckiem, a on, odpoczywając trochę, osiodłał konia i pośpieszył do Rzymu.

– Gockie dziecko? Czyś ty oszalał! – zgañiła go żona. – Chcesz wychować na własnym sercu żmiję? – oburzenie ojca zabarwiło mu obwisłe policzki krwawą purpurą. – Zapomniałeś, że to dziki naród wywodzący się puszcz! Powiedz: Jakich miast nie złupili, jakich ludów nie torturowali? Jeśli się dowiedzą o dziecku, zabiorą ci go, a może i zabiją. Nie, to nie jest dobry pomysł. Mało jest sierot wśród italskich dzieci?

– Goci to prosty, ale waleczny i hardy naród – broni się Eutropiusz.

– Dla mnie to barbarzyńcy, heretycy-arianie, wrogowie – stwierdził się stary Anicjusz.

– Pójdę do biskupa i poproszę o radę.

– Pójdę z tobą.

Plac wokół katedry czernił się od ludzi z miskami czekających na jadło. Biskup Epifaniusz przyjmował bezdomnych, karmił głodnych, grzesząc przeciw piątemu przykazaniu. Nigdy nie dbał o siebie i swoje zdrowie, często głodował oddając jedzenie bardziej potrzebującym, nie pytając nikogo kim jest: Gotem, Grekiem czy Italczykiem, chrześcijaninem czy heretykiem ariańskim. Pomagał wszystkim. Choć bardzo zmęczony i niezdrowy, przyjął ich. Jako stary przyjaciel rodziny Anicjuszów znał powód ich zmartwienia. Eutropiusz przedstawił mu problem, z którym przyszli.

– Jestem niegodnym pasterzem, grzesznym człowiekiem, nie znam się wiele na ariańskich błędach, lecz wiem, że Chrystus dał nam przykład, jak miłować bliźniego i służyć mu pomocą w potrzebie. On nakazał miłować nawet nieprzyjaciół. Rzymianie co niedziela przychodzą do kościoła, modlą się i co z tego wynika? Ledwie wyjdą na ulicę, żyją po staremu, niczym się nie różniąc od Gotów. To dziecko to dla was dar od Boga. Tak mówi moje serce, a wy postąpicie, jak nakazą wam wasze sumienia. Ja mogę go ochrzcić.

Dwa dni później Eutropiusz wraz z żoną wyjechał do Nursji. Abundancja nie mogła się doczekać, kiedy ujrzy chłopca. Słowa biskupa przekonały ją do pomysłu męża.

– Jak go nazwiemy? – zapytał.

– Może Teodozjusz?

– Teodozjusz Anicjusz brzmi nieźle.

Abundancja pokochała chłopca od pierwszego wejrzenia, a biskupa Epifaniusza uradowała decyzja Anicjuszów.

– Bóg prowadzi nas, moje dzieci, tylko Jemu wiadomymi drogami. Dobrze, że Mu zaufaliście.

Pochylając się nad malcem i żegnając krzyżem podczas ceremonii chrztu chłopca, doznał troski, która często nawiedzała go na widok dzieci nieświadomych okropności i przewrotności świata oraz ceny, jaką przyjdzie im zapłacić w życiu. Nie był starym człowiekiem, ale liczne troski i obowiązki sprawiły, że ciało zaczęło mu odmawiać posłuszeństwa. Modląc się każdego wieczora za swoją owczarnię i Italię, dodawał teraz modlitwę za małego Teodozjusza.

Tego roku wiosna w Nursji przyszła wyjątkowo wcześnie. Na folwarku Anicjuszów panował ożywiony ruch, rozpoczęto podorywkę. Gawrony podlatywały do świeżo zoranej ziemi i wybierały dżdżownice i inne żyjątka. Konie i krowy pasły się na pastwisku, dzieci bawiły się nad bulgoczącym wesoło strumieniem. Starsi chłopcy łowili raki.

Ich spokojna, wiejska posiadłość kryła się w starodrzewiu, którego gałęzie *nie dopuszczały żaru do wnętrza domu w skwarne lato*. Nie docierała tu także zawierucha wojenna. Abundanacja, zwolenniczka życia w mieście, nie bardzo lubiła wieś, jednak od kiedy pojawił się tu mały Teodozjusz, polubiła to miejsce, czuła się tu szczęśliwa. Dawniej nie dostrzegała jego walorów, teraz wszystko wzbudzało w niej zachwyt: drzewa i krzewy, kwiaty w ogrodzie, śpiew ptaków i szum strumienia. Nawet zapach obory przestał w niej wywoływać odruch wymiotny. Dziwiła się, że mogła być tak ślepa. Ale to nie ślepotą, lecz miłość sprawia, że człowiek postrzega otoczenie inaczej. Eutropiusz nie poznawał żony, szalała z radości. Oboje cieszyli się sobą i darem

otrzymanym od Boga. Dziękowali Mu za tę łaskę. Złożyli na ręce biskupa Epifaniusza okazałą sumę na rzecz Kościoła.

Mały Teodozjusz rósł i rozwijał się pod czułym okiem doświadczonej piastunki Cyprylli, która od pierwszego wejrzenia pokochała malca. Była wdową, straciła i męża i syna. Kochała dzieci, więc zajęła się troskliwie chłopcem, ale potrafiła go skarcić gdy nabroił, co zdarzało mu się w miarę dorastania coraz częściej. Wspólnie z Eutropiuszem naprawiali błędy matki, która zaślepiona macierzyńską miłością pozwalała chłopcu na wiele, co zostało odkryte i bezwzględnie wykorzystywane przez niego. Eutropiusz nie pobłażał mu. Malec czuł przed nim respekt i nie darzył go sympatią. Epifaniusz, mądry ojciec, powtarzał za Mądrością Syracha:

Kto miłuje swego syna, często używa na niego różgi, aby na końcu mógł się nim cieszyć. Kto wychowuje swego syna, będzie miał z niego pociechę i dumny będzie z niego między znajomymi.